

Kraj

Kuba Wygnański / 25.06.2008

Droga ludzi zbędnych

Kuba Wygnański, społecznik: Do części wykluczonych nie da się dotrzeć opowieściami o wędkach i rybach. Oni są ustawieni tylko na rybę i to nawet nie na łososa, ale na cokolwiek. Stąd potrzeba nowych pomysłów na pomoc – by te osoby zechciały pomóc same sobie. Rozmawiała Anna Mateja.

ANNA MATEJA: W Stoczni Gdańskiej zbierze się pokaźne grono ludzi o różnych poglądach, by rozmawiać o ekonomii solidarnej, czyli takiej, której nadrzędnym celem nie jest zysk, ale rozwiązywanie problemów społecznych: aktywizacja trwale bezrobotnych, integracja niepełnosprawnych, rozwój terenów zmarginalizowanych. Dla samej Stoczni Gdańskiej to już pomysły spóźnione: zysk okazał się ważniejszy i miejsce podpisania Porozumień Sierpniowych stało się ofiarą transformacji. Chichot historii?

KUBA WYGNAŃSKI: Dla wielu ludzi – z Gwadelupy, Europy Wschodniej czy Unii Europejskiej, którzy tam przyjadą – Gdańsk to miasto-symbol, początek historycznej zmiany i centrum jej promieniowania. Chichot, nie chichot – nie ma lepszego miejsca, by sobie przypomnieć, o co chodziło w Porozumieniach Sierpniowych z 1980 r., a także od czego zaczynaliśmy w 1989 r. Czy chodziło o gospodarkę wolnorynkową? To nie takie proste. Niektóre postulaty strajkujących mówią wprost o konieczności likwidacji cen komercyjnych i wprowadzeniu tymczasowej reglamentacji towarów (pamiętajmy jednak o kontekście historycznym!). W 1989 r. była polityczna zgoda na zastosowanie „terapii szokowej” – z definicji kosztownej, dlatego powinna ona trwać jak najkrócej. To nie zamyka jednak dyskusji na temat akceptowalnej wysokości tej ceny. Tadeusz Mazowiecki w filmie dokumentalnym, którego premiera będzie właśnie w Gdańsku, wspomina z goryczą moment, kiedy dotarła do niego świadomość, że największą cenę za przemiany napędzane przez ruch „S” zapłaci wielkoprzemysłowa klasa robotnicza – największe dla niej wsparcie.

Nie chcę histeryzować, ale rozmiary pewnych zjawisk wykluczenia w Polsce są naprawdę niepokojące, np. najniższy w EU wskaźnik zatrudnienia osób niepełnosprawnych.

Po prawie 20 latach od zmiany ustrojowej czas zapytać, dlaczego nie wszystko nam się podczas transformacji udało, jakiej drogi szukaliśmy? Na pewno nie takiej, przy której zostawiamy tak wielu ludzi „zbędnych”.

Balcerowicza słodziliśmy przecież Kuroniem.

Ale nie dość skutecznie – nie mieliśmy i nie mamy równie mocnego programu społecznego jak ekonomicznego. Stąd wykluczeni i rozczarowani, którzy później zasilili szeregi populistów. Trzeba szukać innego paradygmatu polityki społecznej, którego istotą nie będzie utrwalanie bezradności i zależności, ale aktywizacja i współodpowiedzialność. Czas zwodować w stoczni nowe idee (i przypomnieć stare), które pozwoliłyby zająć się problemami od lat odkładanymi.

W takim razie, od czego trzeba zacząć?

Hm... Od rewolucji moralnej.

To już było.

Nie jestem zelotą, chodzi mi tylko o zaakcentowanie w ekonomii społecznej (ekonomii solidarności) jej aksjologicznego rdzenia: chodzi o realizację celów istotnych społecznie przy pomocy instrumentów ekonomicznych. Kolejność nie jest przypadkowa, bo ekonomia społeczna nie jest filantropią ani społeczną odpowiedzialnością biznesu – linię demarkacyjną wyznacza społeczny cel przedsięwzięcia. Rynek i działalność ekonomiczna mają być środkiem pomagającym, np. wprowadzić niepełnosprawnych w środowisko pracy. Zysk, jak w każdym przedsięwzięciu

ekonomicznym, jest istotny dla jego trwałości, ale nie jego maksymalizacja jest tu najważniejsza. Ważniejsze jest to, by osoby wykluczone odnalazły, dzięki pracy, swoje miejsce, by zdjąć z nich (dożywotni często) wyrok bycia beneficjentem socjalnych transferów.

To się wydaje czystej wody lewactwem – komu do lewicy będzie daleko, zlekceważy problem.

A wcale nie. Ekonomia społeczna to „ekumeniczny” politycznie projekt, który może połączyć zwolenników konserwatywnego podejścia (nie możesz dawać, nie wymagając), lewicowców, miłośników „trzeciej drogi”, społeczną naukę Kościoła, komunitarian, jak i zielonych. Mógłbym wymieniać więcej. I może jedynie trochę ciasno byłoby tam wyznawcom libertarianizmu i miłośnikom wszechwładnego państwa (czerwonego czy brązowego), ale to mnie nie martwi.

Ekonomia społeczna ma jednak nie tylko uspołeczniać rynek, ale też ekonomizować „przemysł pomocowy” i instytucje, których pierwotną misją jest realizacja celów społecznych. Tu też mamy do czynienia z ograniczoną liczbą zasobów i jednocześnie prawie nieograniczonymi potrzebami – myślenie pod kątem efektywności działań jest więc niezbędne. Dobrze rozumiane podejście biznesowe jest tu pomocne, zwłaszcza że najczęściej dysponuje się nie własnymi, ale powierzonymi (np. w zbiorcach publicznych) środkami. Tym bardziej że organizacje non-for-profit mają prawo, ale roztropnie, angażować się w działania ekonomiczne i starać się o przychody, by dzięki temu uniezależnić się nieco od filantropii

czy dobrej woli instytucji publicznych przydzielających dotacje. Zysk nie jest naganny, bo właściwe pytanie dotyczy nie tego, czy jest, ale tego, co się z nim dzieje. Zresztą inne ustawienie sprawy trąciłoby hipokryzją – skoro ekonomia ma być wehikułem umożliwiającym odzyskanie ludziom chociaż kawałka kontroli nad życiem, tym bardziej powinno się to odnosić do tych, którzy im pomagają.

A jeśli „dobra nowina” o ekonomii społecznej nie znajdzie wyznawców wśród klientów pomocy społecznej?

To największe ryzyko, ale dlaczego nie spróbować? Przy obecnej koniunkturze można powiedzieć, że rynek rozwiązuje problem bezrobocia, bo liczba osób bez pracy zmniejszyła się. Warto jednak zapytać, kto został – otóż często ci, na których nie działają dotychczasowe instrumenty pomocy społecznej czy urzędów pracy. Dla wielu to zresztą nie pomoc, tylko kontrola i robią wszystko, by je „ograć”. Część ograniczyła aspiracje do poziomu egzystencji, np. konieczności zarobienia na najtańszy alkohol. Czy do takich ludzi można się dobić opowieściami o wędkach i rybach? Oni są ustawieni tylko na rybę i to nawet nie na łososia, ale na cokolwiek. Nie wierzą w szansę na samodzielność, lecz wiedzą, jak się poruszać w systemie pomocy oferowanej przez państwo i organizacje pozarządowe, by to „cokolwiek” otrzymać. Stąd potrzeba nowych pomysłów na pomoc – by te osoby zechciały pomóc same sobie.

Nie nam jednym w Europie „udało się” stworzyć system opieki społecznej utrwalający bierność i wykluczenie, przez co państwo dobrobytu okazało się niemożliwe do udźwignięcia. Dlatego zaczęto mówić, niejako przez kontrast, o idei społeczeństwa dobrobytu, czyli konieczności odtworzenia opartych o naturalne społeczności (w tym rodzinę) sposobów zapobiegania wykluczeniu. Nowy podział pracy i odpowiedzialności wymaga zarówno modernizacji państwa, jak i zmiany zasad odpowiedzialności po stronie obywateli oraz ich wspólnot. Częścią poszukiwań nowego sposobu organizacji polityki społecznej jest ekonomia społeczna i dlatego koncept ten jest wypróbowywany we wszystkich właściwie krajach UE.

W jakim stopniu organizacje pomocowe ponoszą winę za powstanie „zawodowych beneficjentów”?

Europejski Fundusz Społeczny przydziela środki na różne formy walki z wykluczeniem społecznym. „Walutą” tego systemu, która uruchamia pieniądze publiczne, jest liczba obsłużonych beneficjentów. Dotyczy to także organizacji pozarządowych. Oczywiście, powinien obowiązywać mechanizm proporcjonalności „wypłat” w stosunku do efektów, ale sama liczba beneficjentów nie jest na ogół żadnym efektem. Za to powstał system, który „potrzebuje” beneficjentów – trzeba ich albo „fabrykować”, albo utrzymywać tych, którzy są.

Wyśmiewamy rynek, że musi cały czas generować potrzeby, by istnieć, ale trzeci sektor nie powinien robić tego samego. Wszyscy grają: ludzie udają, że im się pomaga, instytucje – że pomagają, i nie bardzo wiemy, jak się z tego wyrwać. Nawet największe pieniądze wpuszczone w ten system napędzą wewnętrzny metabolizm instytucji pomocy, ale nie rozwiążą żadnego problemu. Trzeba odejść od ścigania się o to, kto wydał więcej, na rzecz tego, kto zrobił to skuteczniej. Inaczej olbrzymie pieniądze europejskie, które miały nam pomóc rozwiązać problemy społeczne, w istocie je pogłębią.

Czyniac z ekonomii spolecznej mlot na filantropie, podwaza sie wysitek wielu ludzi pomagajacych innym tradycyjnie.

Filantropia w Polsce jest bardzo slaba, wiec trzeba ja przede wszystkim pielagnowac. Ale jednoczesnie pytac o jej naturę i motywacje. S. Malgorzata Chmielewska, prowadzaca przedsiebiorstwo spoleczne w Zochcinie pod Sandomierzem, mowila w jednym z wywiadow, ze czesto proszacych o pomoc staramy sie w zaklopotaniu dac cos do jedzenia czy pare złotych i jak najszybciej odprawic. To „rytual pomagania”, po ktorym wracamy do swoich spraw. Znacznie trudniejsza jest praca u podstaw – dociekanie przyczyn, bycie z ta osoba, wspolna dluga i czesto usiana porazkami praca. Nie robilem tego sam, wiec nie mam prawa pouczac innych, ale mam przynajmniej swiadomosc, jaka jest skala koniecznego w tych przypadkach wysilku.

Ekonomia spoleczna jest alternatywa dla filantropii takze dlatego, ze ta ostatnia ze swej natury jest skazana na przygodnosc i niewystarczalnosc. To jak w gombrowiczowskim odwracaniu zukow – czy w ogole warto je odwracac, skoro i tak nie mozna wszystkim pomoc? Jesli pomaganie ma byc trwałe, potrzebuje silnika (a wlasciwie pradnicy), dlatego podchodzenie do tego zjawiska jak do biznesu nie jest naduzyciem. Tak robi chocby C.K. Prahalad, guru wspolczesnej ekonomii i zarzadzania, twierdzac, ze glowna role w likwidacji glodu i biedy w slumsach Afryki, Azji czy Ameryki Poludniowej moga odegrac nie rzady czy organizacje charytatywne, ale firmy, w tym miedzynarodowe koncerny (ktore zreszta ponosza czesc odpowiedzialnosc za powstale problemy). Jego ksiazka „Bottom of the Pyramid” to opowiesc o 2 mld ludzi zyjacych za mniej niz dwa dolary dziennie i przykladach skutecznym ekonomicznie przedsiwziec, w ktorym ci ludzie nie byli problemem, lecz zasobem. Wystarczy dostosowac towary do ich mozliwosci nabywczyn, np. wykluczajac posrednikow czy kosztownych producentow narzucajacych wysoką marze (Prahalad i Hammond w ksiazce „Jak sluzyc ubogim tego swiata – z zyskiem” zauwazyli, ze w najbiedniejszych grupach zywnosc jest drozsza o 20-30 proc.).

Co jest intrygujacego w przedsiebiorcach, ze w nich zaceto upatrywac nadziei na uporanie sie z wykluczeniem?

We flagowym dokumencie ekonomii spolecznej, jaki wydano na Wyspach, stwierdzono, ze swiat stal sie tak skomplikowany, iz jesli nie uruchomimy myslenia wlasciwego przedsiebiorcom, opierajacego sie na pojeciach: „zasoby”, „efektywnosc”, nie rozwiadzemy wspolczesnych problemow. Przedsiwborcy zostali „wezwni na pomoc”, bo rzady same sobie z tym nie poradza. Oczywiscie organizacje beda zawsze zabiegac o srodki publiczne – maja do tego prawo, bo wykonuja uslugi publiczne. Tyle ze ich dzialaniami nie towarzyszy czesto ani ochrona konsumentcka, ani konkurencja. Nie ma rynku i co za tym idzie – nie ma naturalnych dla niego mechanizmow wysylania sygnalow zwrotnych, weryfikujacych jakoosc dzialan i towarzyszace im koszty. Dlatego wlasnie majac wciaz napisane na scianie: „Po pierwsze, ludzie – glupcze!”, calkiem blisko trzeba napisac cos o roztropnosc i rozdziale srodkow i przypomnienie o realiach ekonomicznych.

Ekonomia spoleczna zaklada inny styl zycia – wyhamowany, bardziej refleksyjny, skierowany na jakoosc, a nie merkantylnie pojety zysk. Czy Polacy sa juz gotowi na takie wyhamowanie?

Po 20 latach mamy szybki wzrost gospodarczy, stajemy sie zamożniejsi, ale nie towarzyszy temu radość – nie ma jej ani wsród przegranych, ani czesto wsród zwyciezcow. Jesteśmy szczescielsi? A moze wróciliśmy poniekad do sytuacji, o ktorej w latach 70. Miron Bialoszewski napisal: „kazdy w bunkrze na swoim cukrze”.

Przed wojna powstala Warszawska Spoldzielnia Mieszkaniowa, Stowarzyszenie Szklane Domy, w ktorej ludzie dzieki skladkom zbudowali teatr, biblioteka, przedszkole. To nie byla utopia – to dzialalo! Teraz w Warszawie jest ponad 400 osiedli zamknietych dla reszty miasta (najwiecej w Europie!). Przestrzen publiczna jest zawlaszczana i prywatyzowana, a miasto staje sie zakladnikiem deweloperow. Nie nauczylismy sie wspolnego wymyslania terytorium dla siebie, godzenia roznych interesow, zakorzeniania w nim. Tu takze idea ekonomii spolecznej moze okazac sie przydatna, bo jako idea oparta na wspolnocie najbardziej skuteczna moze byc wlasnie w dzialaniach lokalnych. W Balowie, ktorego mieszkancy utworzyli stowarzyszenie dla rozwoju turystyki i wydzwigniecia wsi z marazmu, przedsiwziecie idzie tak dobrze, ze obok myslenia o tym, kto konkretnie w danym roku zarobil, pojawilo sie myslenie o calej spolecznosci: ilu turystow przyjechalo do gminy, gdzie zostawili pieniadze, jak krazyly. Widać to tez w Korytowiu, gdzie ks. Slawomir Kokorzycy pracuje nad wyksztalceniem tamtejszej mlodziezy; w Tyczynie, gdzie spoldzielnia prowadzi regionalna siec telefoniczna; w przedsiwzieciach rewitalizacyjnych z kilku metropolii.

Ralf Dahrendorf pisał, że podczas transformacji potrzeba sześciu miesięcy na zmianę systemu politycznego, sześciu lat na rynek oraz 60 lat na nawyki i postawy. Po 20 latach, czyli 1/3 „terminu”, warto się zatrzymać i zastanowić: „co z tą solidarnością?” i jak należy dziś odczytać jej przesłanie, czy coś w ogóle wynika z faktu, że ostatnie 20 lat brało początek z jej tradycji, czy coś nam nie ginie, jeśli podporządkujemy się chęci maksymalizacji zysku. W Gdańsku chcą o tym rozmawiać środowiska ekonomii społecznej i rząd. Są rekomendacje i raporty, jak w gospodarce, polityce społecznej i regionalnej przyjmować ten inny punkt widzenia. Nie chodzi o ograniczenie tradycji „S” do rytuałów, raczej o uruchomienie konkretnych przedsięwzięć. Ekonomia solidarności miała nieduże szanse 20 lat temu, może warto spróbować teraz?

KUBA WYGNAŃSKI (ur. 1964) jest socjologiem, jednym z animatorów ruchu organizacji pozarządowych w Polsce, kierował projektem „W poszukiwaniu polskiego modelu ekonomii społecznej”.

Adres artykułu: <http://tygodnik.onet.pl/30,0,11657,artykul.html>